Tom XV. Nr. 7.
1. sierpnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gmina i jej sprawy.

I. O własności.

Od dawna już o tem radzono i myślano, aby w gminach ustanowiony był samorząd, t. j. aby się same rządziły, same o swych potrzebach pamiętały i same nad swem dobrem pracowały. Na lwowskim sejmie mówiono tego roku o tem wiele a sejm uradził i uchwalił nową ustawę gminną, według której gromady rządzić się mają. Teraz Najj. Cesarz potwierdził tę ustawę.

Ale ustawy choćby i najlepsze, nic nie nadadzą, jeźli ludzie nie potrafią dobrze pojąć i zrozumieć obowiązków i spraw gminy. Dlatego też podajemy wam tu rozmaite uwagi o gminie, abyście rozumieli, jakie to sprawy i obowiązki z nią się łączą, i na czem się porządek jej zakłada. Czytajcie je z uwagą, a wyjdą one wam na pożytek.

Gmina, jest to społeczność wielu mieszkańców w jednej okolicy osiadłych, którzy mają wspólne jakieś własności, lub wspólne interesa. Taką gminą bywa jedno miasto, lub wieś duża, lub kilka wiosek połączonych, według tego jak wspólne ich potrzeby wymagają.

Muszę na tem miejscu najprzód wytłumaczyć niektóre okoliczności, abyśmy jasno zrozumieli te rzeczy, które mogą być spólną własnością, lub spólnym interesem; ponieważ mogłoby się komuś zdawać, iż w gminie powinnoby być wszystko spólną własnością, jak w jednej rodzinie. Że naprzykład wszystka ziemia, lasy, sady, stawy, młyny i inne użytkowe rzeczy, powinnyby być spólne, tak aby wszyscy mieszkańcy do spółki pracowali, i spólnie pożytkiem się dzielili.

Do takiej spólności niema człowiek obowiązku, ani społeczeństwo ludzkie niema prawa, kogokolwiek do takiej spólności zmuszać.

Każdy człowiek ma wrodzoną skłonność, aby posiadał swoją osobną własność. Sprawiedliwość wymaga, aby mu wolno było posiadać swoją własność, jeżeli na nią pracuje nie krzywdząc drugiego, to jest, jeżeli nie przywłaszcza sobie cudzej własności. Nie byłby człowiek wolnym, gdyby mu nie wolno było posiadać osobnej własności.

Lecz nietylko wolność tego wymaga, ale pożytek samego towarzystwa ludzkiego. Chęć posiadania własności, jest zachętą do pracy. Ta chęć robi człowieka pilnym, przemyślnym, prowadzi go do nauki, prowadzi go do dobrego życia. Próżniak i niedbalec, bierze od niego przykład, jeżeli także chce przyjść do czego. Tym sposobem praca i nauka znajduje swą nadgrodę, a próżniactwo zasłużoną biedę. Jak sobie kto pościele, tak się i wyśpi.

Gdyby wszelka własność była wspólną, to pracowici pracowaliby na próżniaków, a próżniak nie troskałby się wiele, jak na utrzymanie zapracować, jeżeliby ze spólnej własności tak jak z własnej spiżarni dostawał na życie.

Spólność własności może być w klasztorze, gdzie człowiek dobrowolnie wyrzeka się swojej osobnej własności, a co ma swego, oddaje do spółki. Tam równo z drugimi pracuje i jednakowe z drugimi ma utrzymanie.

Spółka własności może być tam, gdzie jest dobrowolna ugoda na to, między kilkoma lub więcej ludźmi. Spółka trwa tak długo na jak długo się ugodzą, i każden tam pracuje i odnosi pożytek według tego, jak się umówi i o co się

umówi: ale poza tą spółką, może każdy mieć osobną własność, która do spółki nie należy. To każdemu człowiekowi wolno; jak mu wolno posiadać swoje ręce do pracy i swoje zęby do jedzenia, tak mu wolno posiadać swoją osobną własność, z której ciągnie pożytek dla siebie; i nikt niema prawa tego mu zabraniać. A społeczeństwo ma prawo i obowiązek czuwać nad tem, aby nikt własności nie nabywał kosztem cudzej własności.

Lecz mógłby kto powiedzieć, że skoro między ludźmi powinnaby być równość, że człowiek do wolności i równości stworzony, toć pierwszy przykład tego, powinienby być w gminie. Więc powiedziałby, że wszelka posiadłość w gminie powinnaby być przynajmniej równa, — jednego jak drugiego; wszyscy mieszkańcy powinniby być równo obdzieleni?

Takie zdanie byłoby także fałszywe.

Jak nam wiadomo, że człowiek z natury swojej pragnąłby posiadać coś własnego, tak wiadomo nam, że z natury swojej czy wychowania swego, nie każdy człowiek jednakowo około swej własności jest dbały. Jeden będzie skrzętny, zapobiegliwy, pilny w pracy i oszczędny; drugi szuka tylko wymówki, jakby robotę z dnia na dzień mógł odkładać; pracuje ospale, a nareszcie co zarobi łatwo roztrwoni. Otóż już i naraz jak w pracy tak w pożytku jest nierówność.

Gdyby nawet i zaraz jaką gminę równo własnością obdzielono, to wnet pracowity i oszczędny posiadałby więcej. A nietylko praca ale i szczęście może dać jednemu więcej niż drugiemu. Jednego rodzina zdrowa jest mu pomocą w pracy, drugiemu choroby i leki zabierają dostatek. Jednemu chudoba się mnoży i pożytek niesie, drugiemu się nie chowa albo zaraza mu stajnią wymiecie. Jednemu rola pięknie urodzi, drugiemu rok po rok grady zboża wybiją. I tak różne przygody jednemu ująć, a drugiemu dodać mogą, a ztąd nierówność w majątku.

Nareszcie, kto raz zamożniejszy, to i dzieciom swoim więcej zostawi. A jeżeli się tym z pokolenia na pokolenie poszczęści, to się majątek powiększać będzie jednych więcej niż drugich i coraz bardziej odbiegać będzie od równości. Gdzie ludzki rozum przeszkodziłby temu? A gdyby nawet rozum szukał

sposobów na to, i chciał do tego świat nakłonić, jakaby to była sprawiedliwość na świecie? Czy to byłaby wolność, aby zabierać cudzą własność? — Czy to byłaby wolność jeżeli komuś nie wolno używać pożytku swojej pracy? swojego szczęścia, albo własności, którą ma od swoich przodków? — Czy to byłaby wolność, gdzie rodzicom nie wolno zostawiać swojego mienia dzieciom swoim? dzieciom nie wolno posiadać nic od rodziców lub krewnych swoich? — Czy to byłaby wolność, czy to byłaby sprawiedliwość, gdzieby jednym odbierano a drugim dawano, dlatego tylko że im się to przyda?

To nie byłaby wolność, ale niewola jednych a panowanie drugich; niewola tych co coś mają a panowanie tych co mają mniej; niewola sytych, a panowanie głodnych. A gdzie jest niewola jednych, a panowanie drugich, tam niema wolności i tam niema równości. Społeczeństwo ma prawo i obowiązek czuwać nad tem, aby nikt cudzej własności sobie nie przywłaszczał; ma prawo tę cudzą własność odebrać i prawemu właścicielowi oddać, ale niema prawa zabierać komu dlatego, że on ma więcej niż drugi.

Więc jeżeli powiadamy że ludzie są między sobą równi, to ta równość nie tyczy się majątku, ale to jest, że mają równe prawa w społeczeństwie. I właśnie to stanowi piękność tej zasady, że ona przypuszcza wielkich i maluczkich, bogatych i ubogich, równo według równej zasługi.

Nie mamy się co przeto dłużej zastanawiać nad spólnością lub równością własności w gminie. Przystępując do poznania gminy, widzimy wszędzie rozdział własności już gotowy. To, co jako własność czyją znajdujemy prawnie opisane, powinno być święcie szanowane. To jest początek rozumu i sumienia w rzeczach publicznych.

Lecz w tej własności jedne rzeczy należą do pojedynczych osób, inne do całej gminy. To, co jest własnością osobistą, nikomu się do tego nie mieszać. To, co jest własnością gminy, jest rzeczą publiczną; i o tem obszerniej pomówimy.

Gmina ma rozmaite swoje potrzeby i interesa, które tylko ją obchodzą, ją dotykają, jej tylko korzyść przynoszą, jeżeli są dobrze prowadzone, jej straty i niepowodzenie przynoszą,

jeżeli się źle koło nich chodzi. Takie interesa zasługują przedewszystkiem na to, ażeby się gmina niemi sama zajmowała, a nawet gmina ma do takich spraw swoje najlepsze prawo, nie kto inny, bo to jej własność. I pewnie sama dla siebie najlepiej zrobi, bo najszczerzej robić zechce.

Gmina posiada naprzykład swoje pastwiska, swoje lasy, albo stawy z młynami lub inne użytki, a nawet jak po większych miastach może posiadać całe swoje folwarki, które nie należą do pojedyńczych ludzi, do pojedyńczych mieszkańców tej gminy, ale są własnością całej gminy, są własnością wspólną, jak to na wsi wyrażają, g r o m a d z k ą.

Własność taka potrzebuje rozmaitego zaopatrzenia i ciągłego starunku. Gospodarstwo około tych rzeczy wymaga uprawy, obsiewu, dozoru, opłaty różnych ludzi do usługi. Celem nareszcie tej własności jest, ażeby z niej był pożytek; a ten pożytek aby szedł na pożytek właściciela, to jest na pożytek członków gminy, nie kogo innego; musi w tem być jakaś miara i rozkład porządku.

Jeżeliby własnością gminy jacyś obcy ludzie zawiadywali i rządzili, trzebaby to jakichś świętych ludzi, żeby pracowali z gorliwością i nie szukali własnej korzyści, tylko korzyści gminy. Po ludzku sądząc, nie po anielsku, ci obcy ludzie, którychby gminie narzucono, nie dbaliby o dobro gminy, ale o swoje własne. Szafowaliby z cudzej kieszeni, a napełnialiby swoję. I to, coby miało być dobrem publicznem gminy, szłoby na pożytek niektórych ludzi, co nie należą do gminy — przyszli tylko po to, aby się obłowić, dopóki ich inni nie zmienią, tacy sami przybysze jak oni.

Takie panowanie nad własnością gminy kogokolwiek bądź, jest niesprawiedliwe. Jest niesprawiedliwe nawet wtenczas, chociażby to gospodarstwo obcych ludzi było dobre; a co jest niesprawiedliwe nawet nigdy nie jest dobrem.

Gmina ma więc wyłączne prawo rządzenia swoim majątkiem, chociażby nawet źle rządziła. Wolność wymaga tego, aby to prawo było szanowane, bo na tem nie cierpi niczyja wolność, ani innej gminy, ani żadnego człowieka po za tą

gminą mieszkającego, a więc robić to jej wolno. Co gmina robi u siebie i dla siebie, to nikogo ni świerzbi ni boli, to nie przeszkadza drugim, żeby robili u siebie inaczej i lepiej jeżli chcą i umieją. I to jest swoboda gminy. Gdzie tego niema, niema wolności: bo co mi to za wolność jeżeli kto obcy z góry do gminy powiada: ja będę rządził i gospodarzył twoją własnością, uczynię dla twojego pożytku co mi się podoba, a brać będę od ciebie co mi się zechce. Ty gmino chociaż masz swoje majątki i różne własności, to się nie pytaj wiele, co ja z tem zrobię, tylko słuchaj i nie mrucz.

Byłaby to wielka niewola, gdzieby tak do gminy przemawiano; gdzieby sobie takie prawo do gminy przywłaszczono. Nie wolno tego robić z pojedyńczym człowiekiem, nie wolno robić z żadną rodziną, nie wolno też robić z gminą: bo wszelka własność jest świętą, powinna być szanowaną, nietykaną; — jest własnością tego, do kogo należy, i jemu tylko przystoi rządzić nią i gospodarzyć według rozumu swojego i woli swojej. Gdzie tego niema, jest niewola; jest gwałt zadany boskiemu prawu o własności.

Rodzicom wprawdzie przystoi rządzić dziećmi, starać się o ich potrzeby, za nich pracować, dla nich oszczędzać, nakłaniać dzieci do posłuszeństwa, a nie tłumaczyć się im z tego, co robią i dlaczego tak robią: ale to rzecz inna. Jak długo dzieci są dziećmi i mają rodziców, to własność wszelka jest rodziców, nie dzieci. Jeżeli rodzice pomrą, a dzieci pełnych lat nie mają, to jest nad niemi jakaś opieka, która je wyręcza i dobro ich do pewnych lat pod swoim rozumem i swoją mocą trzyma. Gmina zaś, to nie dziecko małoletnie; gmina jest to wielki i dojrzały człowiek; gmina ma swoich letnich i poważnych mężów; ma dojrzałe, rozumne i sumienne głowy, które wiekiem, powagą i zacnością swoją, jak starcy i troskliwi ojcowie nad swojemi dziećmi, czuwają nad całością i bezpieczeństwem mienia, które ma być ich i wszystkich młodszych i przyszłego ich pokolenia, całem nienaruszonem mieniem. Oni to najlepiej znają swoje potrzeby, najserdeczniej pragną dobra wszystkich członków i członeczków swojej gminy;

bo dla nich wszystko jest spólne. Więc gmina nie jest to płoche, niedojrzałe dziecko, ale to jest wolny i dojrzały człowiek, który sam ma prawo rządzić swoją własnością, i nie tłumaczyć się z tego nikomu. Tak gmina może i powinna zarządzać sama, według swego uznania, wszelką własnością, która do gminy należy. Jak się ten zarząd odbywa później zobaczymy.

Dzwon Zygmuntowski w Krakowie.

Oto z wieży — by głos boski,
Bije ów dzwon Zygmuntowski!
Dzwon największy w Polsce całej,
Co odzwaniał wieki chwały,
A dziś raz na rok w żałobie,
Dzwoni na tym polskim grobie
W dzień Pańskiego Zmartwychwstania
Niby słowy zmiłowania....
Dzwoń Zygmuncie głośno, głośno —
Wolno, wolno i weselno,
I grobowo i żałośno —
I poważnie i śmiertelno!
Przemów słowy zmartwychwstania!
Bij tem sercem Zygmuntowem
Ponad Polską, nad Krakowem!
Niech się chmury zakołyszą —
Niech umarli w grobach słyszą!
I co żywe niech powstanie,
Na twe wielkie zawołanie!
O poległych — mów do żywych
O cierpiących do szczęśliwych,
Do twych wiernych — mów o wrogu,
Do upadłych mów o Bogu!
Dzwoń nam dzwonie! dzwonie stary!
Póki głosu w piersi twojej,
Póki w naszem sercu wiary,
Póty wrogom pierś dostoi —
I cud cudem — i lud ludem,
A Bóg Bogiem po staremu!

W. P.

Jacek Kępczyk.

Powiastka z życia Kurpiów.

Bogata ziemia nasza, nie brak jej niczego, co człowiekowi do życia potrzeba. Nie masz w całem świecie takiej pszenicy, jaka się u nas rodzi — żyta na chleb, jęczmienia, gryki na krupy i kaszę, owsa dla chudoby podostatkiem mamy, a nasze rącze koniki, nasze poczciwe krówki i wełniste owieczki, którymże ustępują? Ale nie wszędzie to tak jest u nas. Jako na słońcu plamy, tak i w krainie naszej są gdzieniegdzie miejsca, mniej od drugich szczęśliwe, mniej od drugich bogate, i tam człowiek przemysłem zdobywać sobie musi, czego mu ziemia odmawia.

Zajrzyjmy do puszczy Ostrołęckiej, tej odwiecznej Kurpiów ojczyzny. Tam bieda! ziemia nieurodzajna, piasczysta, ledwie ziemniaki jakie takie wydaje, wszędzie bagien i trzęsawisk pełno, a lasy.... Panie odpuść! i sosnowe drzewo tępo w nich rośnie.

Z biedy Kurp to tego to owego chwytać się musi, byle jakoś wyżyć. Dawnymi czasy, kiedy jeszcze bory odwieczne okrywały te puszcze, a w nich swobodnie bujał jeleń, łoś, żubr, dzik, niedźwiedź, po drzewach zaś trzymały się chętnie dzikie pszczoły — jako tako powodziło się Kurpiom; dzisiaj trudniejsza sprawa — lasy przetrzebione, grubego zwierza ani na lekarstwo nie dostanie, pszczół niema; pomimo tego jednak nie mrą z głodu, a nawet i bogacze są pomiędzy nimi, jako oto, nie szukając daleko, Wojciech Ostrowski, co w Dąbrowie nad Narwią gospodarzy od lat trzydziestu na niewielkim kawałku ziemi.

Dąbrowa nie osobliwsza to wioszczyna, ot jak i inne Kurpiów osady. Mieszkańcy trudnią się to ścinaniem drzewa, to furmanką, to orylką, to znowu kopaniem i obrabianiem bursztynu, i jak tam zresztą mogą, pchają biedę przed sobą.

Dom Wojciecha Ostrowskiego postawiony w węgieł, nie ciasny, o dużych oknach z malowanemi okiennicami, przyzwoitą

ma powierzchowność. Ale cóż to ja widzę? Ściana pod oknami białem wapnem pomalowana, a podwórko przed domem wysypane piaskiem w różne floresy. Wszakże to znak, że tu jest dziewka na wydaniu, spieszmyż więc co żywo do chaty.

Wszędzie porządek aż miło popatrzeć! Pierwsza izba dość obszerna, o trzech oknach, piec polewany, na pułkach poustawiany sprzęt kuchenny, pod ścianą stół czysto wymyty, przy oknie warsztat tracki, a przy warsztacie hoża Marynka, córka Wojciecha. Starego niema w domu, bo poszedł ze strzelbą na cietrzewie, których tu w kniei pobliskiej równie jak kuropatw i jarząbków uwija się nie mało.

Marynka to oczko i jedyna pociecha starego Wojciecha od czasu jego owdowienia, to jest od lat dziesięciu. Poczciwy ojciec tylko dla jej dobra nie wstępował w powtórny związek małżeński, bojąc się aby żona, choćby najlepsza dla niego, nie była złą macochą dla jego jedynaczki. Nie przyznawał się jednak głośno, że tylko dla córki robił z siebie to poświęcenie i nachodzącym go swatom wymawiał się pół żartem, iż się boi śmiesznego zwyczaju, powszechnie przyjętego u Kurpiów, który wymaga, aby niewiasta za wdowca idąca, nie wchodziła do jego domu drzwiami, ale oknem.

Bóg łaskaw na sierotę, nie poskąpił Marynce urody; to też gdy się w niedzielę ubrała w kolorowy gorset, jaśnistą perkalową spodnicę, białe pończochy i niebieskie sukienne na korkach trzewiki, cienką biała koszulkę, czerwonym sznurkiem wyszytą, białą chustkę zawiązała na głowie, a na szyi przy szkaplerzu zawiesiła kilka sznurków korali, lub w zimie przywdziała na wierzch kaftan sukienny, granatowy albo zielony, na który sukno własnemi utkała rękami, to nie jednemu chłopakowi ledwo oczy nie wyskoczyły za nią, a za oczami serce, zwłaszcza, że to była dobra, potulna i pracowita dziewczyna, a do tego z dobrego gniazda. Stary Wojciech bowiem był to człek gospodarny i trzeźwy, gościnny a ludzki, choć w kaszę nie dał sobie napluć i za wyrządzoną krzywdę zwykł był płacić odwetem. Pracą i oszczędnością znacznie pomnożył dobytek po ojcach odziedziczony. W polu rodziło się trochę zboża, ogródek przy domu dostarczał ziemniaków i kapusty, a wieprzki

których zawsze po kilka wykarmiał, okrasy do jadła; w stajni cztery koniki stały w pogotowiu, w lesie wypasało się kilka krówek — do tego myśliwstwo także coś przyniosło — więc w skrzyni brzęczały karbowańce. Wojciecha szanowano powszechnie jako człeka rozsądnego i poczciwego, bo gdy się rozgadał, zwłaszcza o dawnych czasach, to było co posłuchać; więc jak to niegdyś Kurpie zastawiali sidła na niedźwiedzie i rysie, jak biegli byli w strzelaniu, iż nawet główkę ćwieczka trafiali, jak się z Szwedami bili. A wszakże to Działyńska, wojewodzina chełmska pierwsza na czele Kurpiów stawiała opór zwycięzkiemu Karolowi XII., a monarcha szwedzki zdumiał się, że chłopi bez butów, jak Kurpiów nazywał, śmieli się targnąć na jego potęgę.

Owoż Marynka miała już ośmnasty roczek i czas jej było za mąż. Już dawno nie jeden byłby słał po nią swaty, ale przeczuwali wszyscy, że ojciec drożyć się będzie i nie odda jej pierwszemu lepszemu. Ale wreszcie znalazł się Kurpik nie lada, co na to wszystko nie wiele zważał. Nazywał się Jacek Kępczyk.

Jacek dopiero przed rokiem stracił rodziców i dopiero od tego czasu gospodarzył na swojem. Przystojny to był chłopak, prosty jak sosna, a odważny i silny, choćby z niedźwiedziem pójść w zapasy. Syn sławnego myśliwego, gdy był małem chłopięciem, to póty kawałka chleba nie dostał, póki go sobie strzałem z drzewa nie strącił, gdzie mu go ojciec przywiązywał; tak się też ze strzelbą obchodził, że najcelniejsi strzelcy równać się z nim nie śmieli. Do tego jedyny na weselu, jedyny do piosneczki światowej, zwłaszcza w tańcu, a cóż dopiero gdy przyszły zapusty, albo gdy po święconem wielkanocnem rozochocone chłopaki sprowadziły grajka, aby dziewczyny rozstrząsnąć. Do tego ubierać się lubiał i na codzień w świątecznych chodził sukniach: sukman na nim ciemno siwy z granatowemi klapami, pas prześliczny czerwony, kamizela wyszywana, kapelusz ozdobiony sznurkiem złocistym z kutasami i pawiemi piórami, koszula biała, pod szyją faworek, a na nogach zgrabne, zawsze nowe chodaki. Nieboszczyk jego ojciec prócz myśliwstwa najwięcej furmanką się trudnił i wyrabiał też w domu

wozy, brony, łopaty i inny sprzęt domowy i wszystko to wywoził na jarmarki, za co potem złotówki jak woda płynęły do domu i zostawił synowi nie lada gospodarstwo. Ale Jacek nie umiał szanować ojcowskiego dobytku. Na hulankę, na ubiór, na muzykę przeszły prędko pieniążki i koniki się sprzedały, a do pracy nie było ochoty. Mawiali sąsiedzi, że jak się ożeni, to się ustatkuje, a dziewki to aż kraśniały, gdy się do której przybliżył, ale byli niektórzy, a do tych należał i Wojciech Ostrowski, co Jacka uważali za niedobrego i nie radzi byliby mieć go za zięcia.

Nieszczęście chciało, że Jacek właśnie zakochał się w hożej Marynce a Marynka w Jacku. Żwawy piękny chłopak od razu przypadł dziewczynie do serca, a Jacka nęciła uroda i poczciwość Marynki, ale i nadzieja posagu. Stary Wojciech skoro spostrzegł na co się zanosi, zakazał dziewczynie chodzić do karczmy, aby się tam nie bałamuciła z Jackiem, ale chłopak bynajmniej tem niezrażony, potrafił znaleść sposobność widywania Marynki i jak na sarnę zaczajał się na nią, aby wychodzącą z domu i wracającą zatrzymać i zagadać do niej, albo i całusa ukraść, jeżeli się dało.

Ojciec długo o tem nie wiedział, aż jednego razu wracając z kniei do domu przydybał ich przypadkiem na gorącym uczynku. Marynka postrzegłszy starego, czemprędzej uciekła. Jacek zaś oparty na strzelbie stał spokojny i bez trwogi, choć widział że Wojciech zasapał się i można było burzę przewidywać; gdy się doń stary przybliżył i miał coś zagadać, zdjął kapelusz i pokornie skłonił się mu do nóg. To rozbroiło starego, mruknął coś pod nosem i obszedł go w milczeniu, a Jacek zawiesiwszy strzelbę na plecy, rzucił jeszcze raz okiem ku oknu, w którem mu mignęła twarzyczka Marynki, zasunął kapelusz na oczy i pospieszył do kniei.

Tymczasem Wojciech dalejże wypytywać Marynkę, czego Jacek chciał, po co przychodził, co gadał?

Marynka milczy, a coś jej kraśnieją jagody.

Stary ojciec nuż przemawiać dziewczynie do serca, i przekładać że Jacek ladaco, nie poszanuje grosza, nie posiedzi

w domu, wszystko co do rąk dostanie straci, przehula, i żonę przepije, jeźli ją kiedyś będzie miał.

— Nie zawracaj sobie nim głowy, dziewczyno, bo ja cię nie dam za niego, rzekł w końcu.

Minęło dni kilka, Marynka siedzi przy warsztacie i wzdycha, a robota coś jej nie sporo idzie. Stary nie wychodzi z domu, jakby nie dowierzał córce, jakby się bał, aby nie uciekła do Jacka, więc siedzi i skrobie kawałek bursztynu gdzieś na roli znalezionego, i milczą oboje.

A w tem Marynka rzuci robotę, zerwie się prędko i skoczy do komory. Stary spojrzy na córkę zdziwiony, rzuci okiem ku oknu, a tu właśnie zeskakiwał z wozu Jacek Kępczyk, z dalekim krewniakiem swoim Mateuszem Grzędą.

Drzwi się otwarły.

— Pochwalony Jezus Chrystus, rzecze Grzęda, jak się macie poczciwy Wojciechu?

Jacek skłonił się do nóg staremu.

— Przyjechaliśmy do waszej Maryny z zalotami, zagada znowu Grzęda, gdzieżeście ją podzieli?

Wojciech uścisnął rękę staremu.

— Szkoda nóg waszych, rzecze, Marynka jeszcze za młoda, a do tego, ją tylko jednę mam na świecie, żal by mi było rozstawać się z dzieckiem jedynem. A kto mi oczy zamknie?

— Oj, oj, co wy też to gadacie! powie swat znowu: Marynie czas już za mąż i wam czas zdać gospodarstwo na zięcia.

Stary pokręcił głową.

— Czy to ją za morze dacie, czy co? Wszakci z wami zostanie, jeno że w drugiem domostwie siedzieć będzie.

Zwróci się do parobka.

— No Jacku, poszukaj dziewczyny i przyprowadź, posłyszymy co też ona powie.

Jacek skłonił się Wojciechowi i postąpił krokiem ku komorze. Stary zatrzymał go ręką.

— Słuchajcie Mateuszu, rzecze do swata, niema co długo gadać, ja nie dam Maryny za Jacka.

— Ho! ho! już tak zaraz odmawiacie; podajcie lepiej miarkę, napijmy się gorzałki, pogadamy.

I wyciągnął sporą flaszkę. Ale Wojciech nie ruszał się po miarkę. Swat nuż przedstawiać.

— Jacek, jak wiecie dobrych rodziców dziecko, i nie zły z niego parobczak, a że trochę lekkomyślny, to jeszcze nie racja aby dziewczyny odmawiać. Oj! stary! wspomniejcie sobie dawne lata, wszakże i my zawsze tacy stateczni nie byli jak dziś. Ustatkuje się z wiekiem i wszystko pójdzie dobrze. Chyba że go Maryna nie chce, to znowu co innego, ale ona podobno kocha Jacka i żyć bez niego nie może. Ej sąsiedzie, pozwólcie zawołać dziewczyny. Przecie jej szczęścia nie będziecie zagradzać.

— Ja bym jej nieba przychylił, żeby to było w mojej mocy, rzecze Wojciech; ale Jacek nie dla niej, Jacek paliwoda, grosza nie zaszanuje, zmarnował swoje i to zmarnuje, co Maryna mieć będzie z łaski Boga.

— Jeżeli o to chodzi, Wojciechu kochany, to można zaradzić, aby posag Marynki był bezpieczny; ot, na początek nic państwu młodym nie dawajcie albo mało co. Obaczycie jak sobie poczynać będą, a jeźli później poznacie, że im warto dopomódz, to wtedy dopiero dacie co wasza łaska.

Stary się namyślił; swat nalegał i coraz natarczywiej. Wreszcie ozwie się Wojciech:

— Ha, dziej się wola Boża! Jeźli Marynka zechce, niech idzie za Jacka; ale ja tak uczynię jak swat radzi, i nie dam posagu, aż obaczę że warto.

Przywołano Marynkę. Dziewczyna pokraśniała, do nóg się ojcu skłoniła, ale na porządną odpowiedź zdobyć się nie mogła. Przecie z wyrzeczonych półsłowek widać było, że radaby oddać rękę Jackowi.

Znalazła się i miarka do gorzałki, poszło zdrowie kolejką.

— Widać że się kochają, powie swat; niech wam Bóg dopomaga, bierzcie się skoro ojciec pozwala.

Oboje młodzi do nóg się ojcu skłonili i zaloty skończone.

Na różnych przygotowaniach zeszły prędko trzy niedziele. Stary Wojciech córce wyprawił wesele, całą wieś zaproszono.

Marynka była szczęśliwa, wszystkie dziewczęta zazdrościły jej tego szczęścia, jednak, gdy jej przypinano wstęgi kolorowe, i rozplatano warkocz a ubieraczka smutną pieśń nuciła, płakała biedaczka, płakała gdy przystrojona do nóg staremu ojcu upadła, prosząc o błogosławieństwo.

Płakała.... i czemuż tak? Czemu — pytacie? Miły Boże! Wszakci od szczęścia do boleści, od uśmiechu do łzy, to jeno krok jeden!

Po weselu Marynka przeniosła się do mężowego domu. Stary Wojciech dotrzymał słowa, nie dał za córką ani jednego talara, tylko wyprawę jaką taką, i kilka sztuk bydła, a choć nie często państwa młodych nawiedzał, nie spuszczał Jacka z oka, i pilnie baczył na jego postępowanie.

Jacek dobry był dla żony, bo też Marynka cicha a pracowita i dobra gospodyni godna tego była, i chwili jednej nie posiedziała z założonemi rękami. Ale Jacek nie bardzo garnął się do roboty. Czem skorupa nawre za młodu, tem na starość trąci! Oj, święte to przysłowie i na Jacku sprawdziło się co do joty.

Z początku pilnował domu i żony samej nie zostawiał, ale to ledwie miesiąc trwało, a po miesiącu to i do karczmy coraz częściej zaglądać zaczął, i nieraz się zdarzyło, że go żona po całych dniach i nocach nie widziała. Płakała biedaczka i prosiła Jacka, aby jej tego nie robił, ale on ofuknął ją tylko. Przez to zaś najbardziej cierpiała Maryna, że nie miała komu poskarżyć się, a ojcu nie wspominała nigdy o swojej teraźniejszej doli, aby jej nie wyrzucał, że sama sobie winna, bo ją o tem przestrzegał.

Jacek pił coraz częścicj i coraz więcej. A za co? zkądże miał pieniądze? Mniejsza o to, gdyby był przepijał własny zarobek, gorzej, że on nic nie zarabiając pił tylko na kredkę, i przyszło do tego, że żyd raz i drugi bezskutecznie upomniawszy się o pieniądze, zabrał krówkę jedną i drugą, a potem i koniki.

Stary Wojciech aż się za głowę zlapał, zeszedłszy się jednak z Marynką nie robił jej wymówek, jeno zapłakał nad

jedynaczką; nie łajał też i Jacka, jeno przedstawiał mu łagodnie i prosił aby się ustatkował. Ale wszystko na próżno. Jacek nie mógł chwili w domu usiedzieć, jeno do karczmy ciągnął, a gdy i strzelbę przepił, to i do kniei nie było z czem zajrzeć, więc już i strzelać zapomniał i zarzuciwszy to najgłówniejsze każdego Kurpia rzemiosło, zaczął myśleć o innem. Środkiem pól i łąk Dąbrowy poważna Narew płynie a płynie, i szumi uciesznie, a po grzbiecie Narwi mknie galar za galarem, wszystkie to zbożem, to drzewem ładowne, płyną daleko, daleko. Na galarach oryle, dzielni chłopacy, wyśpiewują wesoło popijając gorzałkę pełną miarką.

— Bogdajto być orylem! myśli sobie Jacek. Na wodzie swoboda, życie wesołe, nikt tam nikomu nie szlocha nad uszami: dziś tu, jutro tam, po jutrze jeszcze dalej! Hej, orylem być! orylem! ja muszę być orylem!... Fala szumi, wiosło pluska, a ja sobie płynę wolny, szczęśliwy! Boże, Boże, toć rozkosz jedyna, milsza jak wszystkie inne. O! ja muszę być orylem.

Zasłyszawszy o tem Marynka, nuż w prośby do męża, nuż w prośby do ojca, aby mu przedstawiał i odwiódł od złego zamiaru, bo przewidywała, że z tego nic dobrego nie będzie; ale nie pomogły prośby, nie pomogły przedstawienia. Jacek ją uspokajał, że na orylce zarobi dużo pieniędzy, to będzie na krowy i na konie, będzie o czem siedzieć w domu — i skoro tylko ruch się zaczął na Narwi, a pierwsze tratwy i statki przepłynęły ku Wiśle, dalejże układać się z żydem, co się przewozu podejmował, dalejże gotować się do drogi. A gdy przyszło do pożegnania, to Marynka stała na brzegu milcząca i blada, i gorzkiemi zalewała się łzami, a on wykrzykiwał i przyspiewywał sobie.

Gdy już Jacek schwycił za wiosło i tratwa ruszyła, Maryna jeszcze raz podbiegła ku wodzie i złożywszy ręce jak do pacierza, jeszcze raz prosiła, aby został. Wówczas zachmurzył się, łza mu błysła w oku, i gdyby nie to, że już kilka kwart wódki wypił na zadatek, możeby był i został. Nasunął kapelusz na oczy, odwrócił się i popłynął dalej.

(Dokończenie nastąpi.)

RÓŻNOŚCI.

Telegraf. To jest ten drut, co wisi po słupach przy drogach, a po którym jakby piorunem mogą być wiadomości przesłane tak, że z Wiednia do Krakowa przyjdzie za 5 minut wiadomość po tym drucie, jest rzeczą bardzo osobliwą, którejto rzeczy ludzie niebardzo głęboko uczeni pojąć nie mogą, bo to dzieje się za pomocą elektryki, o której wy ludzie kochani pojęcia jeszcze nie macie.

Otoż jeden chłop we Francji pytał się uczonego człowieka, co jest telegraf i prosił go, aby mu tę rzecz wytłómaczył jak się patrzy. Ów uczony tłumaczy mu różnie, ale chłop ani daj Boże co zrozumieć.

Na to nareszcie powiada mu ten uczony tak:

— Oto wystaw sobie mój kochany psa takiego wielkiego, coby jego ogon był w Wiedniu a głowa w Paryżu, więc jakby temu psu kto w Wiedniu nastąpił na ogon toby zaskowyczał w Paryżu. Otoż tak jest i z tym drutem, jak go n. p. trącą w Wiedniu, tak odpowie w Krakowie.

Piękny przykład. Niema nic piękniejszego i zbawienniejszego na świecie, jak zgoda. Ona to podwaja siły, łączy serca, wzbudza miłość wzajemną, a chroniąc od kłótni, chroni tem samem od nienawiści, zgorszenia. O pięknym przykładzie zgody między dworem a gromadami donoszą z pod Frysztaka. Dziedzic wsi Przybówki, pan Petrowicz, człek ludzki i przyjacielski nie mógł zebrać z pola zboża, bo nie miał robotnika. A że jako wiecie deszcz w żniwa ciągły padał, więc trzeba było szybko korzystać z każdej jasnej chwili i pokwapić się z zbiorem. Biedził się tem pan Petrowicz aż nareszcie wpadł na dobrą myśl. Oto rozpisał on grzeczne pisania do wójtów z gromad sąsiednich, i poprosił ich pięknie i serdecznie, aby mu po starej znajomości i przyjaźni pomogli w zebraniu plonu. I oto patrzcie, zaraz na drugi dzień wójtowie zebrali z gromad robotników i przyszli wraz z nimi do Przybówki, aby pomódz dobremu panu, który zawsze w staropolskiej zgodzie z nimi zostawał. Oby wszędzie była taka zgoda i gotowość wzajemna do pomocy!

Kolej żelazna. Niezadługo to nie będzie w kraju naszym okolicy, przez którąby nie przechodziła kolej żelazna. Mamy już kolej od Krakowa na Przemyśl do Lwowa, a teraz już wybudowano kolej ze Lwowa do Czerniowiec, a wkrótce budować się będzie kolej żelazna ze Lwowa do Brodów.

PRZYPOWIEŚCI.

Chociaż nie skończysz — wszystko rób,
Ciebie, nie dzieło — porwie grób.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.